Notatki spod Monte Cassino

Józef Poniatowski

Fragmenty pamiętnika z lat wojennych, opracował Florian Śmieja.

Józef Poniatowski na Bliskim Wschodzie, fot. arch. Zofii z Poniatowskich i Floriana Śmiejów.

[…] Staraliśmy się o ten wyjazd od kilku tygodni. Mieliśmy wyjechać 8.V., ale potem przyszło zarządzenie, podobno generała Andersa, żebyśmy przyjechali 13-tego, bo akcja zacznie się 15-tego.

Wyjechaliśmy tedy w sobotę i koło 10 rano znaleźliśmy się w II rzucie Korpusu, o 2 km od od Venefro, w Sekcji Polowej Propagandy i Kultury. Zameldowaliśmy się u ppłk. Michniewicza. Przyjął nas uprzejmie, wyjaśnił bardzo ogólnikowo sytuację i nieco zmroził wiadomością, że gen. Anders nie tylko nie chce teraz zajmować się prasą czy korespondentami, ale jest przeciwny jeżdżeniu do oddziałów. Okazało się ponadto, że jest to skutek niepowodzenia w pierwszym natarciu.

Mamy pojechać do punktu opatrunkowego. Wita mnie kierownik punktu, porucznik-lekarz K. Opowiada, jak piekielną mieli robotę przez parę poprzednich dni. Przez ich ręce przeszli prawie wszyscy ranni Korpusu – ponad tysiąc. Było po kilkadziesiąt operacji dziennie. Prawie każdy potrzebuje co najmniej transfuzji krwi. Na trzy dni przed natarciem, Niemcy ostrzelali ich punkt zabijając dwóch lekarzy i kapelana. Stali wtedy o 3 km dalej, już blisko dolnego końca Inferno, ale po tym wypadku musieli się przenieść. Dr K. przyznaje, że nie jest pewne, czy Niemcy chcieli trafić w szpital. Wisiała wprawdzie wielka płachta z czerwonym krzyżem, ale była dość wyblakła, a wąwóz ostrzeliwują stale, bo wiedzą, że to ważna droga komunikacji. Przy tym, o parę godzin wcześniej udało im się „zmacać” i zapalić znajdujący się opodal skład amunicji.

W czasie naszej rozmowy, przysłuchujący się początkowo kapitan o okrągłej twarzy, odchodzi na bok, zakłada stułę i udziela

ostatnich Sakramentów leżącemu obok rannemu. Potem zdejmuje stułę i wraca do nas. Mamy wracać, ale czekamy pół godziny, ruch pod górą wciąż zamknięty.

Nam radzi pułkownik udać się przed północą z mułami niosącymi prowiant do 16. baonu, nie ma nic przeciw temu, żebyśmy dotarli do którejś z leżących na linii kompanii, Mułów jest kilkadziesiąt, wszystkie objuczone, poganiacze Cypryjczycy, podobno doskonale pracują, nasz oficer i dwóch żołnierzy. Noc ciemna, księżyc wzejdzie za parę godzin. Rozświetlają ciemności tylko błyski wystrzałów i wybuchów, czasem przetnie niebo łuk świetlnego pocisku. Ogień zresztą nie jest zbyt gęsty i nadal trudno zrozumieć, kto i do kogo strzela. Zdaje się, że to tzw. ogień nękający – dwie strony kładą wiązki pocisków tu i tam, zwłaszcza gdzie znając teren przewidują bądź nieprzyjacielską baterię, bądź skupienia ludzi czy transporty.

Idziemy jeszcze kilkaset kroków drogą w lewo, ku dolinie Maioli. Potem skręcamy od niej ścieżką wspinającą się zboczem na wzgórze Castiglione. Tempo marszu dość szybkie biorąc pod uwagę ciemność, pod górę i ciągłą potrzebę wyplątywania nóg lub głów z drutów telefonicznych. Czasu tracić nie należy bo jednak co noc na tych ścieżkach muły i ludzie giną, o czym świadczy dość często straszliwy zapach padliny. Palić tu już nie wolno, hałasować – jak najmniej. O kilka metrów przed tą zachodnią krawędzią, zresztą dość łagodnie zbiegającą ostatnie

dwa schrony, już najbliższe nieprzyjaciela wyjątkowo zakryte i z góry, z jednego z nich wyłazi kpt. Biegunowski, zastępca dowódcy batalionu, przebywający od paru dni z 2. kompanią

Kompania leży tu trzy dni. Zapytuję kapitana o warunki. Nie mają ze sobą ani koców, ani płaszczy. Spać w tych warunkach może tylko ten, kto już potwornie zmęczony. Prowiant przywożą w nocy mułami do batalionu, stamtąd – na ramionach. O ciepłej strawie nie ma mowy, o wodzie do mycia – również Pytam, czy te przypadkowe strzelaniny, tam i ówdzie padające pociski nie dały się we znaki, czy też kogo z kompanii uszkodziło. „Proszę zobaczyć” , odpowiada po prostu kapitan. Prowadzi mnie o 20 m w lewo od swego schronu: półotwarte stanowisko, na środku mała grządka zruszonej ziemi i kamieni, zatknięty nawet jakiś krzyżyk, o ile dobrze dojrzałem… „Tu spoczywa podchorąży i strzelec, siedzieli w tym schronie, pocisk trafił sam schron, nie było co ratować”. Idziemy o kilkadziesiąt metrów w tył. Kapitan szuka węchem i dotykiem i łatwo znajduje. „Tu także pochowaliśmy dwóch, ale to o dzień wcześniej od tamtych”. Trzeci grób widziałem na wstępie do kompanii. A więc w ciągu trzech dni bez większych działań, w oczekiwaniu, na odcinku podobnym do innych, kompania miała 5 czy 6 zabitych nie licząc rannych. Najbardziej uskarżają się na moździerze.Ale w dzień dają się także we znaki niemieccy strzelcy wyborowi.

Oprowadza nas po terenie swej kompanii i zarazem opowiada. Po

żołniersku, po prostu.Bierze mnie coraz większy dla tych ludzi podziw. Pytam, czy zmęczenie i stałe napięcie nerwów nie odbiera im zdolności do walki, czy nie łudzą się, że po paru jeszcze takich dniach ktoś ich zluzuje i pójdą na wypoczynek, czy rozumieją, że to dopiero wstęp, że przyjdzie największy wysiłek, w którym na nich właśnie przypadnie rola natarcia. To wszystko dobrze wiedzą. Wiedzą, że zadanie przez ich poprzedników przed paru dniami wykonane nie zostało, więc musi być wykonane przez nich. Spodziewają się każdej nocy rozkazu nacierania na Widmo i dalej na San Angelo. Nastrój twardego realizmu, coś wręcz przeciwnego do „słomianego ognia”, o który tak często i chyba niesłusznie jesteśmy pomawiani.

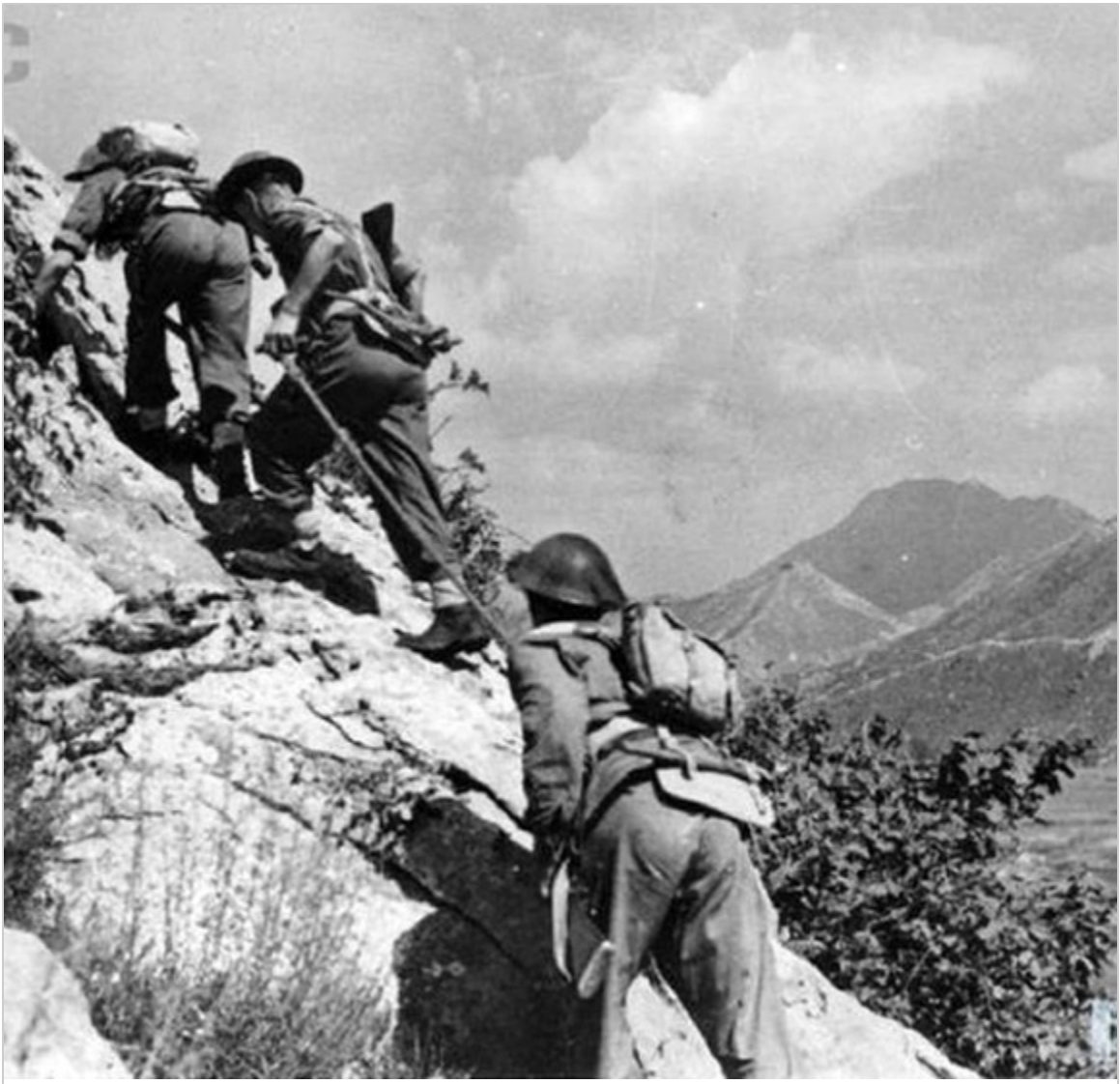

Polska Armia pod Monte Cassino, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-640-6, za pinterest.

Pomimo ciemności, horyzont rysuje się dość ostro, widać powyginaną linię wzgórz. Kapitan wyjaśnia: Maiola i ten grzbiet za nią, z naszej lewej strony – to region Karpackiej. Lewa krawędź tego grzbietu, za siodłem – to Monte Cassino, a to najwyższe wzniesienie na prawym końcu – to 593. Między nim i dalej w prawo, już przed nami położonymi San Angelo, 593 i in.,

w przedłużeniu Maioli to Gardziel Śmierci. W tym samym kierunku leży Masseria Albaneta – ruina pośrodku dolinki łączącej rejony działania obu dywizji. Jeszcze sporo w prawo wznosi się Monte Cairo, ale szczytu z powodu ciemności nie widzimy. Zupełnie już po prawej ręce leży Castel Belmonte, a już prawie z tyłu – Cifalos, skąd właśnie teraz strzela niemiecka artyleria. Ogień stamtąd najbardziej zdeprymował nasze bataliony 18 i część 13 na Widmie tragicznej nocy 11/12 maja, bo chłopcy myśleli, że są pod własnym ogniem.

Rzeczywiście, ogień artylerii, co prawda niezbyt gęsty, słyszymy ze wszystkich czterech stron. Z jednej własny, z trzech – nieprzyjacielski. Przypomina mi się bitwa pod Świszczowem w końcu lipca 1920 r., gdy także ogień był naokoło, ale tam rzeczywiście trzeba się było przemykać i wyślizgiwać będąc wewnątrz przeważających sił nieprzyjacielskich.

Jest już prawie pewne, że tej nocy zacznie się natarcie Rzeczywiście o 6. zaczyna się koncert, Muszę jednak przyznać, że przynosi mi trochę rozczarowania. Spodziewałem się więcej. Uprzedzano mnie wprawdzie, że na skutek interferencji fal głosowych huk jest mniejszy niż wynikałoby z dodawania wszystkich jego źródeł, ale przypuszczałem, że przynajmniej jest zupełna ciągłość huku, że nie będzie w nim przerw. Jakkolwiek nerwy były napięte przez samą świadomość, że oto o kilka kilometrów już się toczy walka na śmierć i życie, straszliwa

próba naszego Korpusu, od której zależeć może jego sława i uzyskanie nowego atutu dla sprawy polskiej, ale też i utracenie na długo zdolności bojowej – zapowiadało się na razie, że ten dzień będzie osobiście dla mnie prawie zmarnowany. Widoku z tej grupy schronów rozrzuconej w w obszernym gaju oliwnym – żadnego, zresztą wiadomo, że i dalej go nie ma, bo wszystko zadymione. Już znacznie wcześniej przyszła wiadomość, że jeszcze w czasie nawały artyleryjskiej, zaraz po 7 rano Kresowa zdobyła nie tylko resztę Widma, ale o wiele ważniejsze Colle San Angelo, jedną z pozycji kluczowych.

Melchior Wańkowicz, korespondent wojenny 2 Korpusu

Polskiego Melchior Wańkowicz (1. z lewej) w towarzystwie nierozpoznanych osób, na szczycie „Widma”. W tle Monte Cairo, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

W miarę jednak upływającego czasu nastroje wyraźnie rzedły, chociaż nic konkretnego nie mówiono. Dowiedziałem się, że najciekawiej jest siedzieć w schronie podsłuchu radiowego i tam też przeważną część dnia spędziłem. Zastałem tam już Wańkowicza, który mając niezawodny instynkt dziennikarski utknął w tym podsłuchu od rana, siedział kamieniem pilnie notując. To słuchanie jest rzeczywiście fascynujące, ale mimo bardzo jeszcze dobrego tonu czołgistów wyczuwało się wyraźnie, że optymizm poranny był trochę przedwczesny. Koło południa Niemcy odebrali San Angelo, po paru godzinach nasi znowu tam częściowo wleźli, ale oczyszczenie wzgórza się nie udawało, straty od moździerzy były coraz większe, Karpacka też nie mogła ruszyć dalej. Batalion 6 majora Różyckiego dotarł na 200 m od Albanety i dalej nie mógł się ruszyć. Płynęły długie godziny bez oczekiwanego sukcesu. Przychodzi zapowiedź: o godz: 13.40 piechota rusza do natarcia na Albanetę, tymczasem okazuje się, że w ogniu nie może się ruszyć. Staje się konieczne przybliżenie jeszcze tych paru czołgów nie mogą się ruszyć, bo przed nimi kilkudziesięciometrowy pas gęsto zaminowany. Saperzy z początku oczyszczali przejście, ale zrobił się taki ogień, że leżą pod czołgami i nie chcą wyłazić. Przez dobre pół godziny trwa

wymyślanie na tych saperów, bo od oczyszczenia drogi dla czołgów zależy bardzo dużo, przecież Albaneta to pępek niemieckich pozycji. Słyszę rozkaz Drelicharza: „Ruszcie czołgiem, żeby wystraszyć tych sukinsynów, że ich przejedziecie". Po chwili meldunek: „Ruszyliśmy, ale ci spryciarze powłazili pod stojący obok czołg z urwaną gąsienicą. Ich dowódca ppor. C. powołuje się na rozkaz pułk. S., że saperów należy oszczędzać. Nic, tylko wziąć kija i wyganiać te cholery". "Strzel mu w łeb lepiej, to inni wyjdą". O ile mi wiadomo, to zwrócono się wreszcie zupełnie poważnie do gen. Ducha o zezwolenie na zastrzelenie oficera dowodzącego saperami. Zezwolenie zostało podobno udzielone, ale zanim z niego skorzystano wyjaśniło się, że czołgiści trochę przesadzali, bo siedząc w czołgach nie doceniali bardzo silnego ognia moździerzy i spandauów uniemożliwiających pracę saperow. Ci ostatni próbowali pracować, ale co który głowę podniósł – strzelcy wyborowi nieprzyjaciela widocznie także rozumiejący sytuację, brali go na cel. Paru dostało, trudno się dziwić, że reszta wolała się chować.

Ku wieczorowi zaczęły napływać wiadomości o śmierci wyższych oficerów, Jurny nastrój czołgistów też zaczął nieco opadać. Czuć było zmęczenie, nawet w głosie Drelicharza (nazajutrz został ranny). Brakło im amunicji, mieli już kilku rannych, praca w nieustannym ogniu wyczerpuje. Wezwano z tyłu inny szwadron na zmianę, ale Drelicharz wybłagał, by go nie wycofywano – chce

doprowadzić swe zadanie do końca.

Na wieczór zaczęło się wszystko uspakajać bez rozstrzygającego wyniku dla którejkolwiek strony. Widmo było nasze, ale San Angelo i 575 m na odcinku Kresowej, a 595, 567 i Albaneta na odcinku Karpackiej pozostawały częściowo lub w całości w rękach Niemcow. A nasze straty już były ciężkie i zmęczenie żołnierza – potworne.

Polska Armia pod Monte Cassino, fot. Narodowe

Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-645-2, za Pinterest.

Nazajutrz obiecywałem sobie od wczesnego rana siedzieć na podsłuchu. Tam przybyliśmy o 10.20 – prawie o tej samej właśnie minucie gen.Anders otrzymał meldunek, że przed paru minutami patrol 12 pułku ułanów wszedł do klasztoru Monte Cassino. Okazało się także, że w nocy i nad ranem wzięto Albanetę, 595 i 567. W chwilę potem widzieliśmy gen. Andersa udającego się na nabożeństwo, które z tego tytułu zarządził.

Koło namiotu ppłk. Michniewicza spotykam go wraz z ppłk. Bąkiewiczem i dowiaduję się od nich, że za chwilę jedzie do zdobytego klasztoru grupa amerykańskich dziennikarzy w towarzystwie polskich oficerów. Błagam, by mnie przyłączyli. Ppłk. M. powiada, że nic nie ma przeciw temu, ale muszę się starać o samochód. .

Wyruszyliśmy po 1. Było z dziesięciu, a może i tuzin Amerykanów, z nimi ppłk. Bąkiewicz, paru oficerów informacyjnych, z prasy Bau, Mossin i ja, filmowcy: Jaszcz, Lipiński, Bazarewski, jeszcze jakiś jeden major z kilku żołnierzami i chorągwią do wy(*nieczytelne)* klasztorze, jeden kapelan i ktoś tam jeszcze.

Dojechaliśmy do tzw. car-parku – po prostu łączka u podnóża

góry. Dalej idzie już tylko wąska i trudna ścieżka pod górę do drugiego, górnego car-parku. Ruch na niej, oczywiście, jednostronny, a właśnie w dół prowadzą wziętych w klasztorze jeńców: trzy partie po dziesięciu. Młodzi chłopcy, bardzo widocznie zmęczeni, zarośnięci, sami spadochroniarze. Podobno w nocy ponad stu wyszło z klasztoru, który już był odcięty i poszło poddać się Anglikom, by nie dostać się w polskie ręce.

Poszli, ale naszych łazików nie puszczają. Decydujemy się iść pieszo. Droga ciężka, coraz to trzeba wymijać to łaziki, to grupy robotników włoskich, to patrole sanitarne, to niosących nosze z rannymi, albo trupy owinięte w koce. Trupy leżą także od czasu do czasu, o ile są owinięte, to wyglądają jak jakieś na pocztę przygotowane przesyłki, tylko buty z jednej strony sterczą. Gorzej gdy (*nieczytelne)* owinięte, albo nawet przykryte, bo wówczas rozkładają się i strasznie pachną.

Ścieżka – już wyłącznie dla pieszych i może od biedy mułów, nieco powraca, potem skręca przez siodło w lewo i znowu się podnosi. Jesteśmy tu już na terenie, który nieprzyjaciel może obserwować i ostrzeliwać. Pada zarządzenie, żeby iść w odstępach dwudziestu kroków jeden od drugiego. Mijamy nieco krzaków, widzimy już klasztor, a raczej jego ruinę, wyjątkowo nie zadymioną, tak blisko, jak jeszcze się tej groźnej kupy gruzów nie widziało. Ścieżka zwraca jednak jeszcze w prawo, biegnie równolegle z krawędzi, za którą leżą miski Maioli, aż osiągamy

wielki murowany budyneczek słynny z czasu walk Karpackiej „Domek lekarza”, uwija się trochę ludzi, a przed domkiem leży przy ścieżce rzędem pół tuzina trupów z niezasłoniętymi twarzami.

Za laskiem droga dość stromo się podnosi – to już wejście (*nieczytelne)* Monte Cassino. Nad nami wznosi się imponująca ściana stosunkowo mało naruszona – to jedyna ocalała północna ściana klasztoru.

Pnę się na wzgórze i sapiąc spotykam gdzieś w połowie wzgórza na kilkadziesiąt metrów przed murem – Wańkowicza. Nie jestem jego adoratorem, złości mnie jego blaga i interesowność, kłóciliśmy się często o sprawy redakcyjne, aż się prawie obraził – a jednak przyznać muszę, że tym razem opanował mnie podziw, jak poprzedniego dnia na widok tych żołnierzy wnoszących na górę żywność i amunicję. Z jego tuszą i w jego wieku, to naprawdę wyczyn sportowy.

Ścieżka wzdłuż ściany wyprowadza nas na zasypany gruzami plac zachodniej strony klasztoru, gdzie grzbiet jest najłagodniejszy. Sterczy tam jeszcze kilka pni drzew i ruiny jakichś zabudowań. Klasztor od tej strony wygląda opłakanie – potworne rumowisko. Po lewej stronie wejście do jakiegoś tunelu, zapewne niegdyś po prostu korytarza. Stoi tam paru naszych saperów. O parę kroków przed kupą jakichś gruzów

pomieszanych z puszkami od konserw itp. – coś się żarzy. Zapytani saperzy wyjaśniają, że to jeszcze Niemcy zapalili.

Patrol z chorągwią musi się wydrapać na szczyt rumowiska, by zawiesić chorągiew na którymś z najwyższych punktów. Drapię się za nimi, co jednak nie jest łatwe, ani całkiem bezpieczne, bo trzeba się dostawać po stromych i wciąż usuwających się pod nogami gruzach, a ponadto nikt nie wie, czy teren nie jest zaminowany. Toteż z całej grupy liczącej ze trzydzieści osób wydrapało się na górę zaledwie siedem-osiem. Spośród Amerykanów widziałem na górze dwóch, Bau i Mossin zostali na dole, Wańkowicz, oczywiście, także… Samo zawieszenie chorągwi polskiej, a obok, ale trochę niżej – brytyjskiej odbyło się właściwie bez żadnej uroczystości, nikt nawet nie krzyknął „Baczność".

Widać z góry dobrze obszerny arkadowy dziedziniec wewnętrzny, poważny i harmonizujący, ale mocno zniszczony. Figura założyciela klasztoru i zakonu, św. Benedykta, stoi żałośnie na ziemi bez głowy i ręki. Na przeciwległej ścianie – mały proporczyk ułanów, którzy pierwsi tu weszli. Poza tym – gruzy, gruzy, gruzy.

Zastanawiałem się, jak się to stało, że pomimo wszystko taki zwykły murowany, choćby i solidnie, budynek mógł choćby w stanie zburzonym uchronić załogę zarówno w czasie tylu

ciężkich bombardowań lotniczych (*nieczytelne)* artyleryjskich. Jak nazajutrz zeznawał dca załogi, Niemcy prawie nie mieli tam strat od ognia.

Na dole zastałem zaledwie kilka osób. Część już pomaszerowała z powrotem, gdy byliśmy w klasztorze, jakiś pocisk padł przy ścieżce, którą niedawno przechodziliśmy, a ponadto odgłosy walki artyleryjskiej od północy jakoś się ożywiły i ostatecznie nikt dobrze nie wiedział, kto skąd i do kogo strzela.. Nie widziałem także Baua i Mossina, którzy, jak się potem okazało, chodzili jeszcze po różnych wewnętrznych zakamarkach. Sądząc, że już poszli, a będąc z nimi związany wspólnym łazikiem, musiałem się spieszyć. Poszedłem więc tylko jeszcze wzdłuż głównego korytarza, u wejścia do którego żar jeszcze nie wygasł, zajrzałem do jednego z bocznym zakamarków i wycofałem się. Słyszałem, że w jednym z bocznych korytarzy siedzą trzej ranni Niemcy jeszcze nie ewakuowani, ale nie mogłem się przemóc, by iść ich oglądać. Wziąłem spod muru klasztornego odłamek pocisku na pamiątkę i zabrałem się do powrotu.

Gdzieś na początku lasku spotkałem Baranowskiego, który mi powiedział, że czeka na resztę filmowców i że Bau i Mossin zapewne jeszcze nie wyszli. Nie chciałem już jednak wracać, by się nie rozminąć. Gdy szedłem ścieżką poprzeczną wzdłuż Onufrio – ogień się jeszcze ożywił, a trzy pociski padły o kilkadziesiąt metrów poniżej podstawy klasztoru. Zauważyłem

obok ścieżki bardzo rozłożonego trupa – jeszcze chyba Anglika lub Amerykanina sprzed nadejścia na odcinek naszych oddziałów. Kamienie ścieżki w wielu miejscach silnie pokrwawione. Gdy dochodziłem do „Bramki", słychać było bliskie serie kmów. Tłumaczyłem sobie, że to nasi likwidują ostatnie pozostałe wzgórze 575, ale nie bardzo mi się to podobało. Odcinek pomiędzy Domkiem Lekarza a „Bramką" już nie tylko Amerykanie, ale i nasi żołnierze przebywali biegiem. Koło Domu Lekarza też jakiś ruch bardziej gorączkowy niż przedtem. I ta seria karabinów maszynowych jakby gdzieś o paręset metrów, w dolinie Maioli. Później się okazało, że kontrataku na Albanetę nie było, ale San Angelo, wbrew poprzednim wiadomościom, nie było jeszcze w całości zdobyte jak i 575, a więc bitwa toczyła się od naszej ścieżki chyba nieco ponad kilometr.

Zszedłem do dolnego car-parku koło piątej, a w kilka minut potem zjawili się także filmowcy oraz Bau i Mossin. W II rzucie zastałem Rubla, zadowolonego z trzydniowego pobytu w 1 pułku artylerii lekkiej. Przyniosłem przywiezioną z Neapolu butelkę whisky oraz zachowany z Campobasso kawałek wędzonki i z Wackiem, Bornholzem i Rublem popiliśmy nieco pod to całe piękne zwycięstwo.

Następnego dnia pojechaliśmy z Rublem do sztabu Karpackiej szukać okazji do jakiejś wycieczki. Szczęśliwie się udało, dostaliśmy łazika i pojechaliśmy obejrzeć pole bitwy na wzgórzu

598, zdobytym poprzedniego dnia rano, na parę godzin przed klasztorem.

Tym razem udało się dojechać aż do górnego car-parku, co oszczędziło nam dużo zmęczenia i czasu, zwłaszcza że Rubel ma jedną nogę słabą (po złamaniu) i chorobę przestrzeni. Swoją drogą podziwiałem, jak łazik piął się po tej wściekle stromej serpentynie, ale się piął.

Kapral Emil Czech gra hejnał mariacki, ogłaszając zwycięstwo pod Monte Cassino, fot. Pinterest.

My tymczasem doszliśmy normalnie do „Bramki”, stamtąd ścieżką pod górę i niezadługo znaleźliśmy się pod grzebieniem zza którego nacierali nasi ułani. Czuć tam było jeszcze silnie atmosferę niedawnej walki. Kamienie zarzucone częściami umundurowania, odłamkami pocisków i granatów ręcznych, gilzami, niewypałami, częściami broni. Tu i ówdzie leżało jeszcze kilka trupów. Oto dwaj nasi żołnierze spaleni przez leżący obok, już zniszczony, niemiecki miotacz płomieni. Jeden leżąc szczerzy z wypalonych ust złote zęby, drugi, prawie na czarno zwęglony, pół siedzi w jakimś strasznym skurczu. A oto pokazują tzw. bunkier niemiecki. Dziura w skale dość głęboka, przykryta zo(*nieczytelne)* tylko szczelina szerokości 20-30 cm, ale skierowana ku górze. Żeby z tego strzelać, trzeba wyleźć, albo co najmiej mocno się wychylić.

Ze wszystkiego widać, że tu, gdzie stoimy, musiała się odbywać rzeczywiście walka prawie wręcz, na niezmiernie bliską odległość. Po ziemi leżą liczne zawleczki od ręcznych granatów – rzucanych przecież nie dla ćwiczenia. Oglądamy szereg stanowisk, gdzie leżeli Niemcy, gdy już nasi zajęli sam szczyt – są

to wnęki może o metr lub dwa za krawędzią skalną okalającą szczyt, a więc o kilka lub kilkanaście metrów od stanowisk, gdzie już byli nasi. Jedni leżeli po jednej, drudzy po drugiej stronie wysokiej na kilkadziesiąt cm krawędzi i rzucali do siebie granatami nie mogąc się podnieść, bo każde wychylenie się oznaczało śmierć.

A za krawędzią z prawej strony – dość stromy spadek w dolinę pośrodku której bieleje spora ruina obok której stoi parę unieruchomionych czołgów – to właśnie Masseria Albaneta, klucz całej pozycji. Oczywiście, łatwo powiedzieć: klucz, ale przecie nikt by się tam długo nie utrzymał mając nieprzyjaciela na 593 i na San Angelo widocznym z drugiej strony. A więc kluczem są te trzy punkty łącznie, czy też dla otwarcia tej górskiej bramy potrzebne są trzy klucze. Ale zdobywanie Albanety, gdy jeszcze ani S. Angelo, ani 593 nie były opanowane w zupełności, to rzeczywiście, na oko sądząc, zadanie dla szaleńców. Dlatego tyle kosztowało i dlatego mogło się udać tylko pod osłoną nocy i czołgów.

Strzelanina już tego dnia była znacznie odleglejsza, dymy wykwitały na zboczach Monte Cairo, gdzieś w kierunku Passo Corno – bardziej w lewo od Piedimonte.

Po długiej, żałosnej wędrówce dotarliśmy wreszcie do dolnego car-parku wyglądając jakiejś okazji. Tym razem udało się, bo nie

wiadomo dlaczego dwaj Anglicy, którzy byli z nami, a zjechali w dół już przeszło godzinę temu, jeszcze nie odjechali i uprzejmie zaproponowali nam miejsce. Dowieźli nas do sztabu III dywizji. Tam zjedliśmy podwieczorek w towarzystwie gen. Ducha i ppłk. Piątkowskiego i dostaliśmy łazika na dalszy powrót.

Nazajutrz kończył się nasz tygodniowy wypad. Rano pojechaliśmy jeszcze do I rzutu podziękować za opiekę i pomoc, na obiedzie spotkaliśmy majora Czapskiego i kapitana Gierata, którzy przyjechali osobowym samochodem i z nimi wróciliśmy bez przygód do Neapolu.

Józef Poniatowski (1897-1995) ekonomista, redaktor naczelny „Orła Białego” na Bliskim Wschodzie i we Włoszech (1942-1944), Minister Spaw Krajowych w gabinecie dr Stanisława Ostrowskiego w Londynie.

Wierny rycerz Rzeczpospolitej. Józef Poniatowski (1898-1995).

Florian Śmieja

Józef Poniatowski na Bliskim Wschodzie, fot. arch. Zofii z Poniatowskich i Floriana Śmiejów.

Choć protagonista niniejszej ewokacji nie żyje od wielu lat, to znalezienie jego dziennika prowadzonego od opuszczenia Polski w roku 1939 do jesieni 1947 roku dało okazję do naszkicowania sylwetki zasłużonego człowieka i przypomnienia niektórych

zdarzeń jego wojennej wędrówki. Mam do dyspozycji dwa grube oraz dwa cienkie ręcznie zapisane zeszyty. Nie posiadam, niestety, pierwszego zeszytu zdeponowanego w Rumunii, widzę też brak zapisków z postoju w Bagdadzie.

Józef Maria Poniatowski urodził się 20 sierpnia 1897 roku w majątku ojca, Szczęsnego, w Cepcewiczach Wielkich, powiat Sarny, na Wołyniu. Jego dziad, Adam, walczył w powstaniu styczniowym i został zesłany na Sybir, tak że przez jakiś czas Szczęsnym opiekował się wuj, dziś święty ksiądz arcybiskup Zygmunt Feliński.

Józef Poniatowski uczęszczał do szkół w Kijowie, służył w wojsku polskim, w roku 1923 ukończył Wyższą Szkołę Handlową (WSH), a w 1925 roku uzyskał dyplom Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (SGGW). Potem studiował w Paryżu. Od 1930-35 był posłem na Sejm z ramienia Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (BBWR) i był dyrektorem Biura Ekonomicznego Prezesa Rady Ministrów. Autor szeregu prac naukowych, w najważniejszej "Przeludnienie wsi i rolnictwa" (1936), dowodził, że polskie rolnictwo cierpiało z powodu przeludnienia. .

Z wojskiem polskim przekroczył granicę rumuńską w roku 1939. Po opuszczeniu Rumunii przez Turcję znalazł się w Palestynie, gdzie mianowano go dowódcą plutonu Legii Oficerskiej i wraz z nią wysłano do Egiptu. Stamtąd w 1941 roku wziął on udział w

nieudanej wyprawie do Tobruku. Opisał jej dramatyczny przebieg, a także rutynowe “atrakcje” obozowego życia w postaci, jak wynika z tonu opisów, mało lubianych defilad.

> Pierwsza z nich miała miejsce w pierwszych dniach grudnia z okazji przyjazdu Naczelnego Wodza. Było najpierw długie czekanie, zupełnie zgodne z tradycją wszystkich polskich uroczystości wojskowych, potem prezentowanie broni, przegląd, krótkie rozmowy, odczytanie rozkazu Nacz. Wodza przez ppułk. Emisarskiego (Epler jeszcze był w Tobruku), przemówienie Nacz. Wodza, potem defilada całej Legii i powrót do rejonów, a w komp. Dowodzenia jeszcze bodaj jakieś śniadanie i chór oficerski oraz orkiestra angielska. Zjawił się na uroczystości i kapitan „Hero” komandor Hicks, związany z Legią krótkim, ale silnym przeżyciem. Defilada zrobiła podobno bardzo dobre wrażenie, a gen. Sikorski wywarł również doskonałe wrażenie, co jest dla mnie z obu stron dowodem, że robić dobre wrażenie w odpowiednich warunkach nie jest rzeczą trudną. Albowiem Legia na pewno ustępuje w sensie formalnego wyszkolenia przeciętnemu nieźle wyszkolonemu oddziałowi piechoty, co zaś do gen. Sikorskiego, to z wiekiem stracił tę sprężystą postawę, która mogła pociągać przed kilkunastu laty, ani zaś rozkaz, ani tym mniej przemówienie nie odbiegały niczym od przeciętności i raczej słabo były przystosowane do tego specyficznego

audytorium. Takie już jest jednak nastawienie żołnierza, że wzrusza się samym faktem widzenia i słuchania Naczelnego Wodza i to jest oczywiście dobrze dla dyscypliny. To też nie umiejąc poddać się temu dodatniemu nastrojowi, byłem daleki od jego rozpraszania, przeciwnie, uważam, że jakkolwiek by się oceniało osobiście człowieka, jeśli nie ma się wpływu na zastąpienie go przez innego, należy dążyć by Naczelny Wódz miał jak największy autorytet. Nie przeszkadza to możliwości zwalczania go jako polityka, gdy się wojna skończy i zdejmie się mundur.

Przemówienie gen. Sikorskiego zawierało, co prawda w niezupełnie konkretnej formie, obietnicę użycia nas już nie jako szeregowych, ale w charakterze kadry oficerskiej dla oddziałów, które mają się na Środkowym Wschodzie tworzyć, zapewne spośród Polaków znajdujących się obecnie w Rosji. Późniejsze przemówienia w Teheranie i Moskwie bardziej jeszcze wyraźnie o tym mówiły.

Po paru dniach byłem z wizytą w Ośrodku Zapasowym w Sidi Biskr (przedmieście Aleksandrii) i przypadkiem trafiłem znowu na gen. Sikorskiego tuż po jego przemówieniu, w którym tutejszym oficerom także obiecał użycie w charakterze kadry. Obiecał także, że „Jędrzejewicze i Poniatowscy nie wrócą już do Kraju". Nie wiem, jak godzi tę własną decyzję z zapewnieniami, że społeczeństwo w Kraju

samo o wszystkim demokratycznie zadecyduje. Skoro jednak usłyszałem w przemówieniu z Moskwy, że i Związek Sowiecki jest demokracją, doszedłem do przekonania, że podobnie jak i w poprzednim, dziś wyklętym, reżimie, wszystko zależy od interpretacji.

Drugi uroczysty przegląd mieliśmy z okazji powrotu płk. Eplera. „Krwawy Dziadek" rozkrochmalił się i wygłosił bardzo ciepłe i serdeczne przemówienie, w o wiele lepszej formie niż Naczelny Wódz.

Wkrótce potem była rewia dla pożegnania opuszczającego Legię jej pierwszego dowódcy, sympatycznego ppłk. dypl. Emisarskiego. Ten również pięknie i kulturalnie, jak zwykle, przemówił.

Ostatnia bodaj była rewia z okazji przyjazdu nowego D(owód)cy Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie gen. Zająca. Ten w ogóle nie przemawiał, ale od razu z samochodu wysiadł z przyjaznym uśmiechem i tym wszystkich ujął. Po paru dniach otrzymaliśmy jego pierwszy rozkaz, później drugi, świąteczny – bardzo mi się podobały dzięki prostocie, bezpośredniości, brakowi frazeologii…

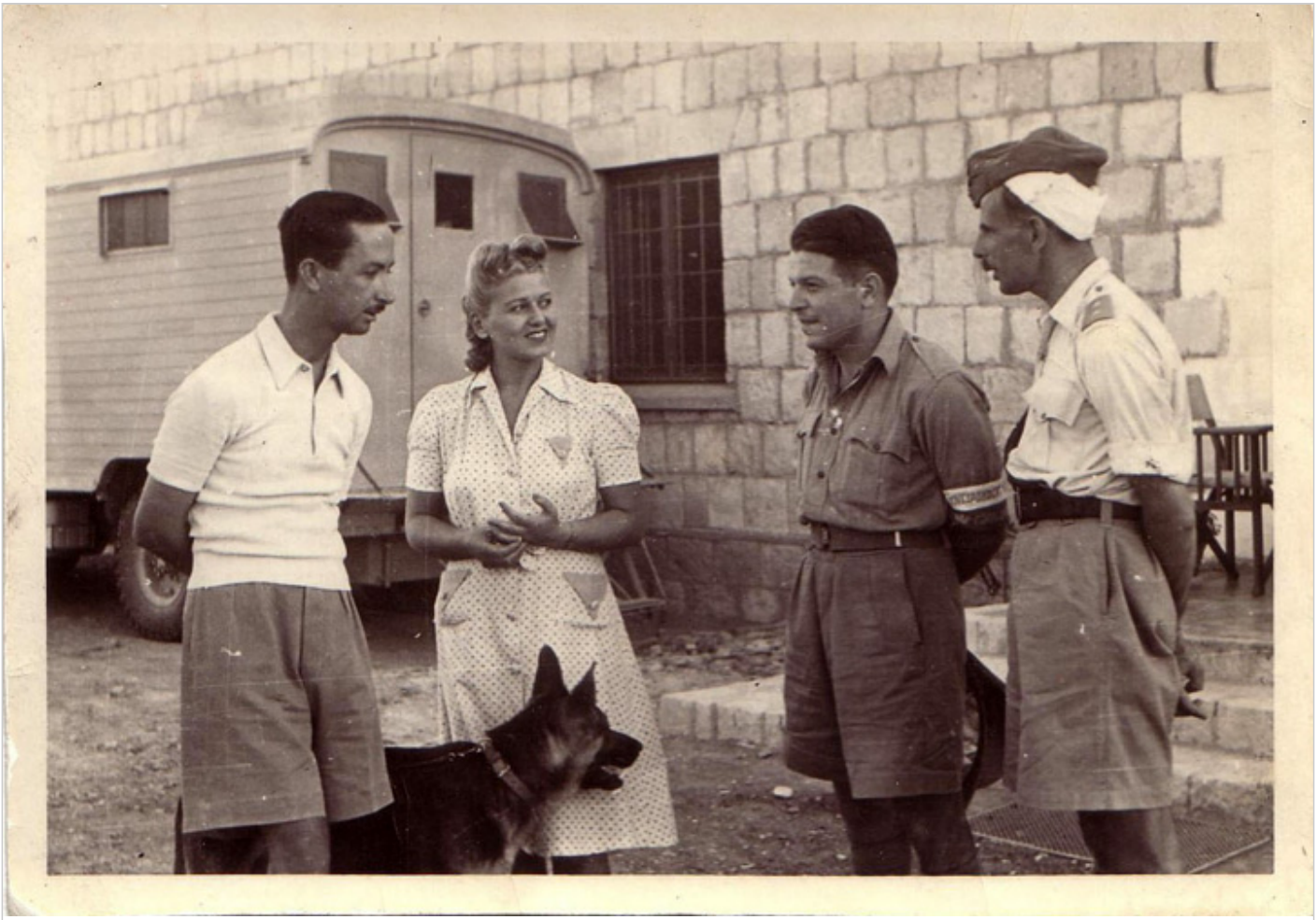

Józef Poniatowski (z bandażem) i regent Iraku, fot. arch. Zofii z Poniatowskich i Floriana Śmiejów.

Józef Poniatowski i małoletni król Iraku, fot. arch. Zofii z Poniatowskich i Floriana Śmiejów.

Potem Józef Poniatowski został redaktorem naczelnym tygodnika „Ku Wolnej Polsce”, a następnie piastował to samo stanowisko w ”Orle Białym” w II Korpusie gen. Władysława Andersa, aż do września 1944 roku. Redagowanie „Orła Białego” było szczególnie trudnym wyzwaniem i nie zawsze przebiegało spokojnie. Współpraca różnych osobowości wymagała ustawicznej czujności. Rywalizacja z niespokojnymi i ambitnymi duchami, poczucie odpowiedzialności, ciągłe przeprawy z

niełatwymi, drażliwymi ludźmi przy potrzebie nieustępliwości wobec presji aliantów oraz konieczności twardej i samodzielnej polityki mającej tylko interesy Polski na celu, powodowały, że poczęto patrzeć na zespół redakcyjny jako na grupę romantycznych szaleńców uważających, że słuszność jest czynnikiem politycznym, że słaba Polska jest w stanie prowadzić oddzielną politykę.

Z czasem zaczęły się piętrzyć trudności i nieporozumienia. Zanim doszło do ostatecznego pożegnania się z funkcją, zdarzały się coraz częstsze scysje i spory. Oto opis jednego z konfliktów zanotowanych w pamiętnikach:

> Od chwili odejścia Czapskiego i przyjścia na jego miejsce rtm. Święcickiego, a powyżej – Bąkiewicza, stosunki w naszym Oddziale zaczęły się psuć. Przyjęto sporo nowych osób, prawie w całości z Dwójki, które nie raczyły ani przedstawić się dawnym współpracownikom, ani można zrozumieć, co robią. Nastała atmosfera obca i nieprzyjemna. Szczególnie to wzrosło po przeniesieniu się naszych z Neapolu do Rzymu. Widoczne było także, że psują się stosunki z gen. A(ndersem). Zamiast dawnych pochwał, zainteresowania, obrony „Orła” przed krytyką, poczęły nas dochodzić głosy niezadowolenia, złośliwej krytyki.

Początek tego zbiegł się jeszcze z dymisją Czapskiego w czerwcu. Mianowicie Bielatowicz, b. kierownik działu literackiego w naszej redakcji, liniowy podchorąży z Karpackiej, tobrukczyk, sympatyczny chłop, choć zajadły endek, napisał artykuł p.t. „Libia i Cassino", gdzie przeprowadza porównanie obu kampanii, przeciwstawiając się lekceważeniu tamtej pierwszej, choć mniejszej. Artykuł mógł wzbudzić w wojsku trochę kwasów, jak zawsze, gdy się chwali jakąś akcję, gdzie nie wszyscy byli. Giedroyć jednak nalegał, że to bardzo dobre, Kopciowi także się podobało, a ostatecznie sama myśl obrony przed zapomnieniem tamtych wartości wydawała się słuszna. Po namyśle więc artykuł puściłem, nieco go jedynie łagodząc, a w szczególności zmieniając przeciwstawienia na zestawienia.

Skutek był piorunujący. Przez wiele dni każdy przyjeżdżający z Korpusu opowiadał nam jaki gen. A(nders) jest wściekły z powodu tego artykułu, jak uważa, że to jest pomniejszanie zwycięstwa pod Cassinem itd., pomimo, że od zwycięstwa upłynęło już 3 tygodnie, a „Orzeł" był przez ten czas pełen artykułów sławiących Cassino.

Bodajże tegoż dnia, w którym była wspomniana pierwsza odprawa Bąkiewicza, przysłano nam numer „Orła" z owym artykułem i napisem szefa sztabu pułk. Wiśniewskiego: „Co za dureń to napisał? Odpowiedzialny redaktor zamelduje się

u mnie”. Giedroyć postanowił jechać wraz ze mną, uważając się za współodpowiedzialnego. Przyszedł jeszcze rozkaz, że zameldować się mamy w formie raportu. Miał nas przedstawić do raportu Bąkiewicz, już się tam znajdujący.

Korpus stał w tym czasie na południe od Pescary. Pojechaliśmy łazikiem prowadzonym przez por. Kowalewskiego. Droga piękna w poprzek Półwyspu niespełna 300 km. Przenocowaliśmy w Vesco, ciekawym starym miasteczku już nad Adriatykiem, rano przyjechaliśmy do kwatery głównej w gaju oliwnym. Chociaż byliśmy na ten dzień zamówieni, okazało się, że Generał wyjechał do Rzymu, ppłk. B(ąkiewicz) nie wiem dokąd, a płk. W(iśniewski) także wyjechał, ale na krócej. Istotnie, pod wieczór się zjawił. Przyjął nasz raport w samochodzie, w którym urzęduje.

Podobno porządny jest chłop i bliski gen. Sosnkowskiemu, ale nie powiem, żebym odniósł najlepsze wrażenie. Najpierw

indagował Giedroycia, potem mnie, ale żadnego z nas nie pytał o to, jak rozumiemy artykuł, dlaczego uznaliśmy go za możliwy, tylko pytał czy uważaliśmy go za pożyteczny, a twierdzącymi odpowiedziami tak był zdumiony, że już nie dyskutował więcej, tylko oświadczył, że nie nadajemy się wobec tego do pełnienia funkcji i zostaniemy ukarani. Cała rozmowa była na stojąco, a na pożegnanie nawet ręki nie podał. To drobiazgi, ale odczułem przepaść między umysłowością tego zawodowego oficera, wcale nie gorszego od przeciętnej, raczej przeciwnie, a cywilnym sposobem myślenia.

Skończyło się na tym, że dostaliśmy po 2 tygodnie aresztu domowego, co prawie nie zmieniało naszego trybu życia, ale z uwagi na nonsensowność faktu namyślałem się, czy by się nie podać do dymisji, zwłaszcza, że umotywowanie rozkazu o ukaranie było nieprzyzwoite, mówiło bowiem o zamieszczeniu artykułu obniżającego wartość wysiłku Korpusu itp. Brednie. Ponieważ jednak rozgrywała się gra o sprawy ważniejsze, a płk. W(iśniewski) wciąż uchodzi za przyjaznego naszej postawie, więc ograniczyłem się do złożenia drogą służbową, po odbyciu kary, obszernego zażalenia do d(owód)cy Korpusu, z wyraźnym zaznaczeniem, że za artykuł Bielatowicza przyjmuję pełną odpowiedzialność i proszę o unieważnienie kary nie z powodu jej wymiaru, a tylko uzasadnienia. Odpowiedzi dotąd nie otrzymałem.

Kiedy samodzielność polityczna stała się niepożądana i postanowiono z pisma zrobić organ dyspozycyjny, przyjęto taktykę likwidowania opornych na raty, bo usunięcie calego zespołu narobiłoby niepotrzebnego rozgłosu. Nie było już mowy o wzmocnieniu linii, była krytyka „Orła” i konfiskata wydrukowanego już artykułu Juliusza Mieroszewskiego. Podanie się do dymisji redakcji stało się nieuniknione jako forma protestu. Przychylił się do niej również Naczelny. Napisał list, który przekazał rtm. Święcickiemu.

> Józef Poniatowski por., redaktor naczelny tyg. „Orzeł Biały’”.M.p. dn. 31.8.1944 r.
>
> Dowódca 2 .Korpusu, w m.o. (drogą służbową)
>
> Melduję prośbę o zwolnienie mnie ze stanowiska redaktora naczelnego tygodnika „Orzeł Biały”. Prośbę swą uzasadniam jak następuje:
>
> Równo przed dwoma laty z rozkazu Pana Generała objąłem redakcję czasopism wojskowych, a następnie „Orła”. Przez cały czas pracy w Iraku i Palestynie stwarzał Pan Generał korzystną atmosferę pracy redakcji darząc ją zaufaniem, zachęcając, broniąc na zewnątrz, a przede wszystkim dając wyraźną i (nieczytelne) linię ideową, zgodną z przekonaniami

zespołu redakcyjnego o służeniu polskiej racji stanu i zostawiając dużą swobodę w wykonaniu tej linii oraz łatwość bezpośredniego kontaktu z Panem Generałem w wypadkach wątpliwości.

Skoro spotykały nas ze strony Pana Generała pochwały, nie nagany, widzę w tym potwierdzenie, że pracowaliśmy lojalnie i właściwie.

Od kilku miesięcy dowiadujemy się już nie o uznaniu, ale o zastrzeżeniach Pana Generała do naszej pracy, chociaż na terenie włoskim wysiłek raczej zwiększyliśmy, nie zmieniając, a tylko pogłębiając linię ideową w myśl wytycznych Pana Generała i zgodnie z rozwojem sytuacji. W szczególności ppłk. dypl. Bąkiewicz, wyznaczony przez Pana Generała jako oficer do zleceń, któremu podlegała propaganda, dawał na każdej odprawie wyraz niezadowolenia z wyników naszej pracy. Na przedostatniej odprawie ppłk. Bąkiewicz zakwestionował, o ile zrozumiałem, jedną z podstawowych składowych ideologii aprobowanej poprzednio przez Pana Generała – koncepcję współpracy narodów Międzymorza. Nie mogłem uzyskać ściślejszych wyjaśnień, ponieważ rozmowy, na którą się zgłosiłem, nie uzyskałem.

Na ostatniej swej odprawie ppłk. Bąkiewicz przedstawił nam,

jako wytyczne udzielone przez Pana Generała po powrocie z Londynu, poglądy, których bez wyjaśnienia nie mógłbym zrozumieć, ani zastosować. Dyskusji nie dopuścił, natomiast wezwał by ci, którym te poglądy nie będą odpowiadały, co wyraźnie przewidywał, (nieczytelne) do pracy w propagandzie. Dodał jednak, że w najbliższym czasie Pan Generał zamierza odbyć z nami odprawę, wobec czego uważałem za konieczne wstrzymać się z decyzją.

Odprawa nie nastąpiła, natomiast ostatnio zaszły fakty świadczące o zaniku zaufania Pana Generała do pracy redakcji, a także i do linii politycznej przez nią reprezentowanej. Wprawdzie na niedawnej odprawie Szef Oddziału po rozmowie z Panem Generałem zakomunikował, że wytyczne pozostają bez zmian, wszakże w parę dni potem zażądał okazania mu do kontroli całej treści znajdującego się w robocie numeru, wprowadził do dwóch artykułów szczegółowe zmiany idące po linii łagodzenia krytyki rezygnacyjnej polityki premiera, a więc sprzeczne z dotychczasowymi wytycznymi i wynikającą z sytuacji koniecznością ostrzegania, jeśli nie będzie za późno.

Dn. 27 bm. okazał mi Szef Oddziału depeszę Pana Generała, z której wynika, że w nr. 35 „Orła” drukując artykuł „Elementy decyzji” i notatkę „Z ostatniej chwili” przekroczyliśmy wytyczne. O ile w artykule mogła zajść

rozbieżność w ocenie tego lub innego wyrażenia, o tyle nie jestem w stanie wyjaśnić sobie, w jaki sposób mogła być przekroczeniem wytycznych notatka, zredagowana bardzo spokojnie, mniej ostra od wielu wystąpień drukowanych dawniej bez zastrzeżeń, a nawet z aprobatą Pana Generała.

Na odprawie dn. 30 bm. Szef Oddziału i jego zastępca poinformowali redakcję ponownie o niezadowoleniu Pana Generała z ostatniego numeru „Orła", a także o tym, że Pan Generał zażądał przedłożenia sobie politycznych (nieczytelne) numeru następnego. Wreszcie nadeszła decyzja Pana Generała zakazująca ogłoszenia już wydrukowanego z poprawkami Szefa Oddziału artykułu J. Mieroszewskiego, jakkolwiek oznacza to zniszczenie nakładu i niedostarczenie czytelnikom numeru. Muszę stąd wnosić, że powodem decyzji nie były drobne szczegóły, ale zasadnicza niezgodność artykułu, dowodzącego w spokojnej, chociaż dobitnej formie, że olbrzymia większość narodu polskiego sprzeciwia się kapitulacyjnej polityce p. Mikołajczyka, uznając jednocześnie w całości legalność jego rządu – z intencjami Pana Generała.

Ponieważ uważam się za wykonawcę na odcinku powierzonym wielokrotnie manifestowanej woli Pana Generała twardej i nieustępliwej polskiej racji stanu przed kapitulacyjną, a w sytuacji nie widzę elementów, które

> uprawniałyby do zmiany tej linii, a choćby jej złagodzenia – przeciwnie, wydaje się bardziej niż kiedykolwiek niezbędne powołanie do steru rządów ludzi, którzy potrafią zapobiec katastrofalnym zakusom obcych mocarstw – nie umiałbym prowadzić pisma po linii, której przesłanek nie jestem w stanie zrozumieć. Zarówno lojalność żołnierska wobec Dowódcy, jak i lojalność obywatelska każą mi w tej sytuacji prosić Pana Generała o zwolnienie mnie od pełnionych obowiązków. (-) Józef Poniatowski por.

W tym czasie przyjechał Juliusz Poniatowski, brat stryjeczny, były minister rolnictwa i uczestniczył w jednej z narad. Była to okazja do licznych, długich rozmów, które zawsze były krzepiące, gdyż uważał Juliusza za człowieka, do którego żywił stuprocentowe zaufanie. On stał na stanowisku, że zanadto pośpieszono się z ustąpieniem, że ta praca była tak ważna, że należało ją pomimo wszystko kontynuować do granic możliwości. Ale go nie przekonał.

Sąd kuzyna wypływał, jego zdaniem, z niedocenienia, albo nie posiadania wszystkich elementów, które właśnie sprawiały że dalsza praca byłaby marnowaniem pracy poprzedniej.

Wreszcie powrócił Święcicki oświadczając, że generał przyjął jego dymisję i Ulatowskiego (te dwie, które były na piśmie), że

wyrażał się o redaktorze bardzo dobrze, z szacunkiem. Żałował, że nie cieszył się jego zaufaniem i że w trzech miejscach owego podania znalazł sugestię, jakoby on zmienił linię, co bynajmniej nie odpowiadało rzeczywistości.

W końcu nadszedł rozkaz przenoszący dotychczasowego redaktora do wydziału Dobrobytu Żołnierza II Korpusu.

Po zakończeniu działań wojennych osiadłszy na stałe w Londynie, gdzie doczekał się połączenia z rodziną przybyłą z Polski, oddał się pracy politycznej i naukowej na terenie polskim i angielskim (był przez okres czasu asystentem oksfordzkiego profesora Petera Wilesa). Wykładał demografię na Polish University College (PUC), afiliowanym do Uniwersytetu Londyńskiego, w latach 1948-49 oraz 1950-51. Był zastępcą redaktora "The Eastern Quarterly" 1951-54. W Szkole Nauk Politycznych i Społecznych w Londynie wykładał o ludności i rolnictwie w Polsce.

Wspominam go jako skromnego człowieka o nieposzlakowanym zachowaniu i wielkiej kurtuazji, absolutnie wiernego Piłsudskiemu i ofiarnego społecznika, bez szemrania znoszącego ciężki los wygnańca, pracującego przez długie lata fizycznie w fabryce, bezkompromisowego emigranta czekającego na powrót do wolnej ojczyzny, nie przyjmującego obcego paszportu ani nawet dopuszczającego myśli o jakiejś „przybranej ojczyźnie". To

był lojalny syn Polski zadający kłam kalumniom miotanym przez komunistów, którzy robili wszystko, by zohydzić wizerunek Polski międzywojennej, na który, niestety, wielu Polaków dało się nabrać.

Żałuję ogromnie, że nie pomyślałem o tym, by go w tamtym czasie wypytać szczegółowo o lata wojenne i dopiero dziś z jego zapisków próbuję dowiedzieć się o sprawach, które go zajmowały i akcjach, w których brał udział. Pamiętam, że wśród fotografii z czasów wojny były interesujące zdjęcia. Na jednym z nich młodociany król Iraku czytał „Orła Białego", na innej mój Teść (bo w roku 1954 poślubiłem jego najstarszą córkę, Zofię), w towarzystwie tłumacza rozmawiał z regentem Iraku. Później, zarówno król Faisal II jak regent Nuri as-Said zostali zamordowani przez ludzi gen. Kassema, który obalił monarchię.

Józef Poniatowski zmarł w Londynie 24 marca 1995 roku i pochowany został na cmentarzu w Beckenham.

Florian Śmieja z teściem, Józefem Poniatowskim w Klubie w London, Ontario, fot. arch. Zofii z Poniatowskich i Floriana Śmiejów.

“Odprowadzamy jednego z ostatnich wiernych rycerzy Rzeczypospolitej“ – przemówił ksiądz, kiedy przy dźwiękach Pierwszej Brygady skromna trumna zmarłego, na ramionach czterech mężczyzn opuszczała kościół na Balham, kierując się ku cmentarzowi w Beckenham w południowym Londynie, gdzie znajduje się pokaźna już grupa grobów polskich.

Ksiądz zaś kończył cytowanie nekrologu:

> …uczestnik walk obu wojen światowych, odznaczony trzykrotnie krzyżem walecznych, poseł na Sejm II Rzeczpospolitej, dyrektor Biura Ekonomicznego Rady Ministrów, naczelny redaktor “Orła Białego” w czasie wojny, minister spraw krajowych Rządu na Wychodźtwie, odznaczony Orderem Polonia Restituta, doctor honoris causa Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, całym życiem oddany sprawom Polski, opatrzony św. Sakramentami, zasnął w Panu w dniu 24 marca 1995, przeżywszy 97 lat…

.